

prof. Grzegorz Bazylak

Potęga powodzi, siła paralaksy

Liczące ponad 25 tysięcy mieszkańców Kłodzko zostało zalane w niedzielę 15 września 2024 roku w wyniku nagłych opadów niezwykle intensywnych deszczy, które przyniósł nad Kotlinę Kłodzką tak zwany niż genueński, starannie monitorowany przez satelity, georadary i setki rozmaitych ekspertów od globalnych zmian klimatycznych. Z brzegów wystąpiła bez ostrzeżenia kapryśna Nysa Kłodzka. W ciągu kilku godzin doszczętnie zniszczone zostały ulice odrestaurowanej niedawno kłodzkiej starówki, mosty, domy, sklepy, szkoły, samochody. Kłodzko, Łądek-Zdrój i Stronie Śląskie – te trzy miasta na Dolnym Śląsku zostały najmocniej dotknięte przez katastrofalną powódź. Zaskoczeni kataklizmem mieszkańcy tych miast – jak kiedyś pisał w szkicu *Po powodzi* Jerzy Stempowski – ten urodzony na Podolu Polak, który nosił w sobie Europę, ten niespieszny przechodzień, od 18 września 1939 roku emigrant, który mieszkając w szwajcarskim Bernie pozostał Polakiem – *zstąpili na stopień zero, patrząc z przerażeniem na miejsce, przez które przeszła powódź. Szara masa lepkiego lub luszczącego się w słońcu iłu pokrywa wszystko. Trudno domyślić się od razu, gdzie przed tygodniem jeszcze stały białe i pomarańczowe ściany domów, grzędy kwiatów, grupy krzewów, i gdzie dzwonił po kamieniach strumień. Zarówno powrót do dawnego, jak przejście do czegoś nowego, wymagają wysiłku wyobraźni, słów potrzebnych do nawiązania kontaktu ze światem, który zmienił się dokoła nas. Co robić? Zachować przytomność, zachować zmysł proporcji, rozumieć, być świadkiem. Przyjąc postawę człowieka palącego fajkę na tonącym okręcie, ale go nie porzucać”* [1].

W takich tragicznych okolicznościach nawet biblijny Noe, dzięki arce pełnej żywego inwentarza, cudem ocalony z potopu spowodowanego bożym gniewem, natychmiast zgodził by się z kontrowersyjnym poglądem Günтера Grassa, który w 1987 roku stwierdził, że *to jedynie nigdy niekończący się chaos zaprowadza rozpoznawalny przez ludzi chwilowy porządek* [2]. Według autora *Blaszanego bębenka* – tego pół-Kaszuba, pół-Niemca, którego skandalizująca twórczość literacka, uhonorowana Nagrodą Nobla w 1999 roku, stanowiła w romantycznej wizji prof. Marii Janion, wileńskiej repatriantki, brakujący element polskiej literatury – taki permanentny stan chwiejnej równowagi w rezultacie powoduje, że z pozorów Dobra bierze się prawdziwe Zło, które znowu chciałoby rządzić, bo pomyłką było, jest i będzie ponowne powierzenie upadłemu człowiekowi misji rozpoczęcia życia na nowo w czasie, jaki nadchodzi po katastrofie niszczącej dotąd znany świat.

Sytuacja powodzi, która – tak jak niedawno wzniesiona covidowa pandemia – intensyfikuje wielowymiarowy chaos zglobali-

zowanego życia w XXI wieku, co w połączeniu z podstępną eskalacją kryzysu klimatycznego i marnotrawienia narodowych budżetów na wydatki wojenne, prawdopodobnie doprowadzi do końca trzeciej dekady XXI wieku do niezwykle korzystnej – ale tylko dla podniesienia statusu, prestiżu i stanu posiadania nielicznej grupki dolarowych multi- oraz ultramiliarderów z branży technologicznej, hedgingowej i medialnej – introdukcji technofeudalizmu pod postacią tzw. sztucznej inteligencji, jako ostatniego etapu rewolucji przemysłowej i informatycznej, pozornie zmierzających do koordynacji oraz konwergencji w kierunku optymalizacji najlepszych sposobów działania [3, 4].

Sytuacja powodzi, która bezwzględnie odślania wciąż narastający konflikt między autonomicznym, starannie spreparowanym, językiem zdigitalizowanych obrazów transmitowanych w medialnych przekazach, algorytmicznie zredukowanych do aktualnych potrzeb władzy, a spontaniczną, performatywną narracją gestów i emocji – nieujętej w regułach żadnego znanego języka, ani nawet w delirycznej retoryce internetu – o niewykorzystanej we Wszechświecie energii ludzkiej bezradności, o czymś, co nie stwarza potwora, ale tylko nadaje mu imię, co jest rodzajem wiedzy przekazywanej między ludźmi od prawników we snach, mitach, modlitwach, alegoriach i w poezji, jak twierdził twórca koncepcji świadomego życia George Santayana, hispanoamerykański filozof i poeta, profesor Harvard University (Cambridge, MA, USA), rezydent klasztoru Sióstr Błękitnych w Rzymie, który głęboko wierzył i uparcie propagował dominację rozumu w zdrowym rozsądku oraz dostrzegał supremację rozumu w społeczeństwie [5].

Sytuacja powodzi, czyli nagłego wprowadzenia czegoś obcego w coś od dawna znanego, zaskakująco podobna do tej, gdy spotykało się dwóch dorosłych wnuków hrabiego Aleksandra Fredry, najwybitniejszego twórcy polskiej komedii obyczajowej, z których jeden uważał się za Polaka, a drugi za Ukraińca, więc dlatego rozmawiali ze sobą tylko po francusku, unikając w ten sposób pułapek konwersacji w świetnie znanych im obu z domów rodzinnych językach: polskim i ukraińskim [6].

Sytuacja powodzi, w której rwące na oślep wody rzeki, zamienionej nagle w żywiol powodzi, są w stanie, nie wiadomo jak i dlaczego, rozróżnić topielca od topielicy. Ten pierwszy przypląwa zawsze do brzegu odwrócony do góry grzbietem, plecami lub pośladkami, a ta druga zawsze unosi się pod powierzchnią wody do góry brzuchem lub nogami. Natomiast nasączone wodą truchło porzuconego w panice przez powodzian psiaka, potomka latającej suki i psa włóczęgi, wylądowuje zwykle na samotnej, wyrzanej słońcem,

nadrzecznej plaży, co szczegółowo opisał ceniony przez władze, nieżyjący od 1988 roku, pewien polski pisarz, ranny podczas forsowania Nysy w 1945 roku, miłośnik Mazur, który zauważył, że *żyjemy całkiem sami, usiłując myśleć o tym, co naprawdę jest piękne i ważne, a nie co tylko być musi* [7].

Sytuacja powodzi, jak w nabierającej wody szalupie, pełnej rozhisteryzowanych kobiet i płaczących dzieci, ofiar wzbierającej powodzi, w której pewien syn – młody, silny i śmiały, a przez to zdalny do wiosłowania – wskutek sugestii kapitana szalupy, nie zabiera na jej pokład swego chorego i niedołęznego ojca, a przy tym, uderzając w niego wiosłem, miażdży mu dłonie, jak w dramacie *Dwa teatry* napisanym w 1946 roku przez Jerzego Szaniawskiego, absolwenta prestiżowego Instytutu Rolniczego w Lozannie w 1912 roku, którego rodzinne majątki pod Zegrzynkiem, zajmowane tam od pokoleń, pochłonęły w 1963 roku wody Zalewu Zegrzyńskiego, utworzonego w czasach PRL-u, jako zbiornik retencyjny na Narwi w celu ochrony przeciwpowodziowej w dolnym biegu tej rzeki oraz Bugu [8].

Sytuacja powodzi, jak w filmowanym w Hollywood w 1930 roku przez Franka Lloyda, z pochodzenia Szkota, dramacie *Droga wszystkich ludzi* szwedzkiego pisarza Henninga Bergera z 1920 roku, gdzie w ekskluzywnym nocnym klubie, zbudowanym pod wodoszczelną kopułą, zgromadził się w tłum elitarnych gości, aby tańcząc i bawiąc się przetrwać grozę nagłej powodzi w mieście. Jest w tym tłumie grupa od dawna wzajemnie skłóconych biznesmenów i znajomych oraz okłamujące się damsko-męskie grono, więc po kilku wzajemnie spędzonych godzinach, wskutek ciągle zmniejszającej się ilości dostępnego powietrza, bo klubowa wentylacja w trakcie powodzi nie działa, dochodzi nagle wśród tych zepsutych i cynicznych ludzi do aktów pojednania, okazywania łaski i wzajemnego przebaczenia. W obliczu nadchodzącej śmierci padają z ich ust słowa żalu i obietnice zadośćuczynienia za wyrządzone sobie przed powodzią krzywdy, zdrady, kradzieże i rozmaite łajdactwa, aż do momentu, gdy już ledwie żywi z braku tlenu, decydują się jednak, bez względu na skutki, otworzyć stalową kopułę, chroniącą nocny klub. Wówczas okazuje się, że na zewnątrz jest słoneczna pogoda, a woda już dawno opadła, co nagle sprawia, że uczestnicy tego spotkania natychmiast wracają, bez jakichkolwiek moralnych wątpliwości, do swoich od dawna wypróbowanych przed powodzią ról i zajęć: kanciarza, szulera, złodzieja, sutenera, seksoholika, oszusta, a poczynione chwilę przedtem solenne obietnice i zobowiązania nie mają już dla nich żadnego znaczenia [9].